

NOWINY

Redakcja i Administracja: Łódź, Piotrkowska 85. — Telefon 33. — Skrzynka pocztowa 142. — Konto czekowe w P. K. O. Nr. 63.050

Redaktor Naczelny przyjmuje od 5 — 7 popołudniu.

Dyrektor Wydawnictwa przyjmuje 11 — 1 po południu.

Warunki prenumeraty: W administracji, biurach dzienników, kioskach — zł. 3 z odnośnikiem do domu; zamiejscowa zł. 3,50 mies. 8 łamów. Ogłoszenia w kolorach o 50 proc. drożej. Drobne ogłoszenia 5 gr. za wyraz; dla poszukiwań i pracy 3 gr. za wyraz. Ogłoszenia zagraniczne o 100 proc. drożej.

Tragiczna farsa...

Nie wolno dłużej tolerować bałaganu na Kresach!

Niedołężstwo władz spowodowało niebывały skandal!..

Wczorajsze depesze urzędowego PAT'a przyniosły prasie wiadomość zdumiewającą, która wygląda raczej na osnowę jakiegoś operetkowego libretta czy farsowego kawału, niż na smutną — niestety — prawdę.

Na jednej z bocznych linii kolejowych kresów wschodnich, gdzieś w okolicach Lunińca, kompanja sow-bandytów w liczbie kilkudziesięciu ludzi, uzbrojonych w broń automatyczną, napadła na pociąg pasażerski. Byłaby to rzecz, jak na nasze stosunki dość zwykła, gdyby nie naprawę interesująca okoliczność, że pociągiem tym jechał m. in. wojewoda poleski p. Downarowicz, oraz — komendant policji okręgowej, p. Mięśowicz. Dla podróżujących dostojników administracyjnych pp. bandyci okazali się bardzo ryersejcy: pozostawiono ich samych — chwala Bogu — przy życiu; co się zaś tyczy ruchomości, kroniki PAT'a o tem milczą. Przypuszczać jednak należy, że dostojne walizy i nesesery podzieliły los innych bagaży, zagrabionych pasażerom pociągu.

Jak widzimy, spraw bezpieczeństwa a raczej niebezpieczeństwa na kresach ma się coraz lepiej. „Uzbrojeni w automatyczną broń“ bandyci nie szanują już nawet pociągu, wiozącego — komendanta waloczącej z nim policji i wojewodę, któremu ten dygnitarz policyjny jest podległy. Maluczko — a usłyszymy, że któryś z wojewodów kresowych porwany został przez bandytów w biały dzień z własnej rezydencji, w oczach rozpaczającej małżonki, nieletnich dzieci, tudzież kompletu urzędników administracyjnych i policyjnych. Apetyt — jak wiadomo — rośnie przy jedzeniu. Może w końcu któryś ze śmielszych kresowych Rinaldinih urządzi raid aż na Krakowskie-Przedmieście, lub w jego okolicy i porwie nam jakiegoś ministra, czy też ograbi Bank Państwa. Naturalnie, że i wtedy pościg byłby natychmiastowy, energiczny etc., ale — jak to zwykle bywa — bezskuteczny.

Należy się spodziewać, że na Kresy nasze zjeżdżać wkrótce poczają tłumnie Mayne-Riedy i Cooperzy z całego świata. Niech się schowa w kącie Meksyk, Texas i Kalifornia przed zuchwalstwem i junacką fantazją „naszych“ kresowych bandytów! No — a taki ograbiony w pociągu inspektor policyjny nie znajdzie — dalibóg — swego prototypu w żadnym szeryfie amerykańskim.

Wszystko to razem wzięte byłoby doskonałą farsą, gdyby nie nosiła ona cech głębokiej tragedji. Stosunki kresowe, o których naprawę wołamy bez wytęchnienia, wciąż jętrzą się i ropieją. Nie pomogła ani militaryzacja stanowisk wojewódzkich, ani specjalne środki ostrożności, przedsięwzięte ostatnio, ani rozpoczęta organizacja korpusu strażnicy pogranicznej. Wrzód umiej-

scowił się wewnątrz kresowego organizmu, a wrzodem tym: nieudolność i niski poziom administracji, szczyptliwość kadr policyjnych, nieuporządkowane stosunki narodowościowe, stwarzające szczególnie podatny grunt do grasowania silnych ilościowo band, „uzbrojonych w broń automatyczną“.

Leczeniem choroby kresowej szybko a radykalnie — z więk-

szą niż dotychczas energią i skuteczniejszymi środkami — muszą się zająć poważnie organa rządowe przy udziale kresowych czynników obywatelskich. Nie możemy przecież czekać, aż nam uzbrojone bandy zaczną wywozić z Polski — stolice województw i miasta powiatowe, wraz z całą ich zawartością!..

Rx.

SZCZEGÓLNY NAPADU.

Dzisiaj otrzymaliśmy nowe szczegóły napadu na pociąg, które podajemy naszym Czytelnikom.

Bandyci odziani byli w polskie uniformy wojskowe, z jedynym atoli brakiem: zamiast trzewików czy butów, mieli na nogach

narodowe, białoruskie łapcie.

Wszedłszy do przedziału p. wojewody, wezwali go i siedzącego obok komendanta, by położyli się na ziemi. Pp. Downarowicz i Mięśowicz nie usłuchali tego wezwania. Uszło im to bezkarnie.

— A siedźcie sobie,

kiedy tak bardzo zależy wam na tem — zarechotał dowodzący bandyta.

Po ograbieniu wozu pocztowego, wręczono urzędnikowi pokwitowanie na zrabowane pieniądze i przesyłki.

Rewers podpisał „ataman Kaliszczenko“. Jest to dobrze znany watażka bandy dywersyjnej, mającej stale swe leże po bolszewickiej stronie.

Liczbę napastników ustalono

drogą akustyczną.

Po skończonym napadzie zarzmiął komenda:

— Strojsia!

A po chwili usłyszano odliczanie dwójek:

— Pierwyj — wtorej — pierwyj — wtorej...

Takich dubletów doliczono się 33. Z dowódcami mogło być zatem 68—70 ludzi.

Na tle ogólnej depresji wyrosta

na młarę bohatera

postać posterunkowego Jana Dmowskiego. On jeden rozbroił się nie dał i ostrzeliwał się gęsto opryszkom. Ranny czterokrotnie, przedarsi się przez ich łańcuch i dotarł do przedziału p. wojewody.

Stanąwszy na baczność, wygłosił po służbowemu:

— Pamie wojewodo, proszę o rozkazy!

Staniał się przytem na nogach

i broczył krwią

z twarzy i skroni.

— Dziękuję — rzekł p. wojewoda — proszę opatrzyć swoje rany.

Czyż mógł być inny „rozkaz“ w podobnych warunkach? Niemniej przeto postępek Dmowskiego nosi znamię

bohaterskiego czynu.

Na tem kończą się echa, dochodzące do stolicy z Brześcia, Pińska i Lunińca.

Posiedzenie Rady wojennej.

Najwyższy czas, aby załatwić sprawę organizacji najwyższych władz wojskowych.

Wczoraj odbyła się w wielkiej sali konferencyjnej przy gabinecie ministerjum spraw wojskowych Rada wojenna.

P. minister spraw wojskowych w zagajeniu podniósł konieczność stałości i ciągłości prac kierownictwa wojskowego, mimo zmian osobowych i nadmienil, że uważa Radę wojen-

ną za czynnik ustalający opinię wojska, a równocześnie łączący władze centralne z podkomendnymi oddziałami.

Niestety, brak ustawodawczej podstawy organizacji naczelnych władz wojskowych hamuje normalny tryb pracy, lecz — oświadczył minister ustawa powyższa

na najbliższej sesji Sejmu i Senatu wchodzi pod obrady.

Następnie rozpatrywano zagadnienie fortyfikacji państwa czyli przygotowania technicznej obrony Rzeczypospolitej.

Pozatem p. minister referował sprawę wyposażenia i umundurowania armji.

Uprowadzenie posterunkowych policji granicznej.

Z Wilna donoszą, że w ostatnich dniach bolszewicy u-

prowadzili przemocą dwóch

posterunkowych, Jurewicz i Ozikę, z 33 kompanji policji granicznej. Uprowadzenie nastąpiło jako zemsta za areszto-

wanie w powiecie wileńskim komisarza bolszewickiego Srnej-golda.

Wojkow otrzymał „agrement“ na posta sowieckiego w Warszawie.

WARSZAWA, 26 września. Tel. wł. Desygnowany przez rząd sowiecki na posta w Warszawie Wojkow, otrzymał „agrement“ od rządu polskiego po stwierdzeniu, że Wojkow był w Jekaterynburgu komisarzem aprowizacyjnym, i jako taki nie tylko nie brał udziału w wymordowaniu

rodziny carskiej, ale nie miał nawet żadnego wpływu politycznych.

W uzupełnieniu powyższych wiadomości muszę donieść, że podczas mojego widzenia się w Paryżu z ministrem Skrzyńskim, ten ostatni już wtedy wyraził wątpliwość co do udziału Wojkowa w morzanie,

dokonanym na rodzinie carskiej.

Minister Skrzyński zaznaczył nadto, że jeżeli ta okoliczność zostanie urzędowo stwierdzona, a dochodzenie w tej mierze jest w toku, to nie będzie żadnego powodu do odmówienia agrement.

Polepszenie bytu emerytów.

Rada Ministrów zniósła dawne postanowienia o emerytach i postanawia:

1) Prywatne zarobki lub zajęcia, nie będą przeszkodą do otrzymywania pełnych 75 proc. emerytury.

2) Ministerstwo Skarbu poleciło ministerstwu kolei wypła-

cać i. zw. rencistom procesowym i ugodowym renty wysokości najmniejszej stawki emerytury aż do najbliższego ostatecznego uregulowania tej sprawy.

3) Ministerstwo kolei zarządziło w sprawie węgla deputatowego, że tego roku będą objęci również i emeryci ko-

lejowi deputatem węglowym na spłaty.

4) W sprawie emerytury dla pracowników nie etatowych, którzy wysłużyli po 35 lat i nie mieli praw do kasy emerytalnej, wystąpiło ministerstwo kolei do ministerstwa skarbu o przyspieszenie tej sprawy.

Nie pić wody surowej!

Skandal G. U. Z.

Jesteśmy świadkami wielkiego skandalu publicznego, z którego, jak to wykażemy, przede wszystkim wynika, że mimo przeprowadzonej przez rząd obecny akcji skarbu, niejedyn jeszcze robak toczył sobie nadal spokojnie organizm Państwa.

Jedynym z „niepotrzebnych urzędów”, który przeżył wszystkich swoich braci jest „Guz”, cieszący się do niedawna pozornie najlepszym „zdrowiem”.

Alieśi ostatnimi dniami wyszło na jaw że i „Guz”, jako nieodrodnym człowiekiem wielkiej „familii niepotrzebnych urzędów” w zarodku niosąc to samo, co one piętno, będzie musiał także ulec temu samemu losowi. Dla „właścicielom” nie jest to co prawda żadną niespodzianką. Nad wyraz smutne tylko, że do tych „właścicielom” nie należał nasz — rząd, i że potrzeba było dopiero wielkiego skandalu, by i on nareszcie się czegoś dowiedział!

Cóż się właściwie stało? Posługując się terminologią medyczną, odpowiemy na to pytanie, że nagromadzona przez długi czas „ropa” znalazła wkońcu ujście i wrzód, troskliwie ukrywany przez tych, którzy do jego powstania się przyczynili

nareszcie pękł.

Pod płaszczykiem „dostarczania różnym organizmom mąki żywniej na kredyt pod ich weksle gwarancyjne własne, podpisywane in blanco”, „Guz” w rzeczywistości był tylko instytucją dla kredytów długoterminowych, które to kredytami organizacje różno postępujące się do przeprowadzenia najrozsądniejszych transakcji, niemających nic wspólnego z apropracją, jako taką.

Jedynym ten w swoim rodzaju systemem kredytowym polegał bowiem na tem, że organizacje wcale nie były zobowiązane do odbioru — mąki, lecz wyzyskiwały tylko swój przewilej stosownie do dogodnej im koniunktury. W ten sposób z biegiem czasu wszystkie te organizacje osiadały w „Guzie” obłężymie „conto corrente”, którem operowały tak zręcznie, że wobec stalego spadku marki osiągały olbrzymie zyski. Do których zaś kieszeni te „zyski” osiągnięte pieniędzmi Skarbu Państwa, płynęły nie trudno się domyśleć.

Pan Bajda począł w „Guzie” badać „conto corrente” tych organizacji, a przekonawszy się że wynosi ono wcale pokaźną sumkę — 87 miliardów marek, zarządził jej energiczne ściąganie. Można sobie łatwo wyobrazić popłoch, jaki wtedy powstał wśród „posiadaczy conto corrente”. Myślby się jednak kłoby przypuszczać, że zabrali się gorątkowo do „wyrównania conta”, jak ot bywa na całej kuli ziemskiej, gdy bank prezentuje „stronie” jej weksle do zapłacenia. Od czegożby była — „indywidualność polska”? Zamiast tedy zwrócić „Guzowi” to co ma się należało, rozpoczęto jawną podziemną przeciw niemu walkę za to, miał odwagę, domagać się słusznych swych pretensyj! Czyż to nie jeden z tych niestety tak licznych „kwiatków” jakie tylko u nas w Polsce wyrastać mogą? Niedość, że w czasach najstraszniejszej drożyzny, tumaniono ludność, gdy tymczasem w rzeczywistości przeprowadzano najrozsądniejsze „transakcje”, mające z apropracją mniej więcej tyle wspólnego, co owe „wioski” rosyjskie do dygnitarza z prawdziwymi, ale „mszczono się” jeszcze, gdy szły nareszcie wyszło z worka. Coby się w innym społeczeństwie nie działo w chwili wyjścia na jaw takiego bezczelnego wyzysku grosza publicznego! Ale u nas potrzeba dopiero wielkiego skandalu, by się społeczeństwo wogóle dowiedziało, w jak haniebnym sposobie zostało oszu Kane.

O zniesienie wojennych ograniczeń w handlu.

Przyczyni się ono do wzrostu paskarstwa.

Coraz częściej się pisze, że wszelkie taryfy maksymalne i stosowane przez urzędy walki z lichwą kary za pobieranie cen wyższych przyczyniają się tylko do wzrostu drożyzny i skoro handel nie będzie skrepowany temi wojennymi ograniczeniami, nastąpi w krótkim czasie powrót do stosunków normalnych.

Gdyby zniesienie hamulca na nadmierne apetyty wolnopaśkujących kupców, rzeźników, młynarzy, piekarzy, restauratorów etc. miało się rzeczywiście przyczynić do uniknięcia w przyszłości gwałtownych, niespodziewanych skoków cen, to każdy z uczuciem ulgi powitałby zwinięcie tych o obywatelskiej dojrzałości pewnych odłamów naszego społeczeństwa niezbyt pochlebnie świadczących urzędów.

Obawiać się jednak należy, że wolna konkurencja, dobra może w Niemczech, Francji, Włoszech, czy nawet Patagonji, u nas pociągnęłaby za sobą rozpasanie się orgji drożyznianej, tembardziej, że kooperatywy nie stoją na wysokości swego zadania. Nie można tego przypisywać brakowi inicjatywy, lub nieudolności kierowników, są to bowiem naogół ludzie najlepszych chęci i czynu, a tylko brak poważniejszych funduszy nie pozwala im na rozwinięcie działalności w większym stylu i na stworzenie z kooperatyw czynnika, któryby miał wpływ decydujący na kształtowanie się cen detalicznych.

Ponadto nieskontyngentowa-

ny eksport artykułów pierwszej potrzeby z jednej, a wysokie cła przywzowowe na wszystkie artykuły z drugiej strony chronią dostatecznie kupca i przekupnia przed konkurencją zagraniczną i pozwalają mu już obecnie na uprawianie wyzysku, o czem świadczy chociażby niepomierne różnica cen fabrycznych i detalicznych, cen żyta i mąki lub świń i mięsa względnie tłuszczu.

Przed zniesieniem tedy cen maksymalnych i urzędów do ich przestrzegania powołanych wypadłoby się poważnie zastanowić, czy pora obecną jest do tego stosowną i czy stan przejściowy od zniesienia ograniczeń do faktycznego unormowania się stosunków drożyznianych nie da się ogłowi zbytnio we znaki.

Orgie lichwiarzy żywnościowych uprawiane na Górnym Śląsku, gdzie ograniczenia są prawie żadne, nie przemawiają za zniesieniem cen maksymalnych i dają nam raczej przedsmak tego, co by się u nas działo, gdyby panami życia i śmierci konsumenta byli nasi rodzimi paskarze.

O ile zatem wolna konkurencja leży w interesie sprzedających, o tyle waność jej dla konsumenta jest bardzo problematyczna, bo nie ma się żadnej pewności, że ceny, podwyższone po zniesieniu urzędów walki z lichwą, powrócą kiedyś do dawnego poziomu, a tem mniej dostosują się do nowych warunków plac i pracy.

B. M.

Akcja oświatowa młodzieży.

Łódzka I. M. C. A.

Dział naukowy Polskiej Y. M. C. A. jest nowością na terenie Łodzi, gdyż jest to pierwszy wypadek, aby organizacja młodzieży prowadziła szerszą akcję oświatową, jako część swego programu. Polska Y. M. C. A. podjęła się tej pracy z dwóch powodów: 1. Na polu oświatowym Łodzi istnieją wielkie braki i potrzeba będzie wielkich wysiłków rządu, miasta i organizacji społecznych, aby ogrom potrzeb szkolnictwa zawodowego odpowiednio zaspokoić; 2. Polska Y. M. C. A. może służyć młodzieży wszechstronnie, aniżeli normalne kursy wieczorowe, gdyż dostarcza ona młodzieży nie tylko nauki, ale i pewnego środowiska kulturalnego, tak niezbędnego w życiu młodzieży, a których taki brak w naszym mieście.

Dzięki wielkim wysiłkom Komitetu Miejskowego Polska Y. M. C. A. zdobyła nową siedzibę przy ulicy Piotrkowskiej 89, która oddana będzie młodzieży od pierwszego listopada. W nowym tym lokalu będzie 5 sal wykładowych, urządzonych z wielkim komfortem. Zdawałoby się, że urządzenie wygodnych sal jest zbytecznym wydawaniem pieniędzy, że zwykłe ławki szkolne w zupełności wystarczają, jednak jeśli się zważy, że ludzie na kursy wieczorowe przychodzą po całodziennej pracy zmęczeni — to wygodne estetyczne urządzenie sal ma wielkie znaczenie dla intensywności pracy naukowej.

Oprócz nauki w salach wykładowych każdy słuchacz będzie miał prawo korzystać z biblioteki beletrystycznej lub naukowej, z czytelni pism i gazet, z odczytów i koncertów, brać udział w życiu klubowym i towarzyskim, a za dodatkową opłatą korzystać ze sportu, bufetu i kafejki (restauracja—kawiarnia, bardzo rozpowszechniona w Ameryce i Europie Zachodniej). Dla ludzi, chcących pracować społecznie, otwarty się wielkie pole działania na terenie Y. M. C. A.

Dział Naukowy Polskiej Y. M.

C. A. prowadzić będzie, wzorem lat ubiegłych kursy językowe i handlowe oraz poraz pierwszy matematyczne i stenograficzne.

Z kursów językowych największą frekwencją cieszy się język angielski. Kursy angielskie prowadzone są na szeroką skalę, oprócz nauki systematycznej, prowadzonej przez rodowitą angielską i dobrą siłę pedagogiczną, panią Gesellę. Istnieje także klub angielski dla słuchaczy kursów średnich i wyższych, prowadzony przez dyrektora Y. M. C. A., p. A. A. Ebersole'a. Klub angielski ma na celu uprawianie swych członków w konwersacji angielskiej. Przy klubie istnieje czytelnia pism amerykańskich i angielskich oraz biblioteka angielska, składająca się z około 400 książek. Obecnie rozpoczęły się już kursy początkowy i średni. Kurs wyższy rozpocznie się w październiku. Oprócz nauki języka wykładana będzie korespondencja angielska.

Kursy języka niemieckiego cieszą się także znaczną frekwencją, gdyż język ten jest w życiu przemysłowo-handlowym w Łodzi bardzo potrzebny. Na kursach wykładu pierwszorzędna siła nauczycielska. Prowadzone są kursy początkowe i średnie.

Kursy języka francuskiego rozpoczną się także wkrótce. Uruchoomiony będzie kurs początkowy i średni. W miarę rozrostu kursów niemieckiego i francuskiego organizacja ich będzie dostosowana do wzoru kursów angielskich.

Druga grupa kursów, to kursy handlowe. Wykłady obejmują: buchalterję, arytmetykę handlową, korespondencję i naukę o handlu. Na kursach wykładają bardzo dobre siły, jak prof. Jerzy Kamiński i inż. Szosland. Kursy tego typu umożliwiają dalsze handlowe kształcenie się jednostek pracujących w handlu i przemyśle, które odczuwają brak takichowych i życzyłyby sobie je uzupełnić.

Kursy matematyczne obejmują na razie początki algebry i geometrii z planem stopniowego rozszerzania i pogłębiania tych studjów. Są one ważne dla ludzi pracujących technicznie, a mających braki matematyczne.

Wszelkich bliższych informacyj o kursach udziela Dział Naukowy, ulica Piotrkowska 243.

Dział Naukowy uprasza wszystkich, którzy mają zamiar założyć jakie kursy lub mają pewne plany, a nie mogą urzeczywistnić ich z braku lokalu lub innych przeszkód, o zwrócenie się do Działu Naukowego, który chętnieby w zorganizowaniu nowych kursów dla dobra młodzieży łódzkiej współdziałał.

Ze Zw. Oficerów Rezerwy.

Zebranie Zw. Oficerów Rezerwy zapowiedziane przez „Nowiny” na 28 bm., odbędzie się dopiero dnia 5-go października r. b.

Międzyzwiązkowa Komisja Pracownicza. Do ogółu pracowników miasta Łodzi.

Przeżywany obecnie kryzys gospodarczy w pierwszej linii i najeźniej dotknął klasę pracującą, a dla pracowników handlowych, biurowych, przemysłowych i bankowych stał się wręcz klęską.

I oto stoimy wobec faktu wyrzucenia na bruk kilku tysięcy pracowników.

Te rzesze bezrobotnych z rozpaczą patrzą w jutro, gdyż nie mając żadnych środków egzystencji, skazane są na głód i nędzę.

Reakcyjna większość Sejmu i Senatu zignorowała najwzlotniejsze interesy mas pracowniczych przez pominięcie pracowników umysłowych w ustawie o ubezpieczeniu na wypadek bezrobocia.

Rząd ze swej strony nie udzielił bezrobotnym pracownikom umysłowym żadnej, chociażby doraźnej, pomocy, która by w części przynajmniej złagodziła katastrofalne położenie mas pracowniczych. Wyrzucono nas tem samem poza nawias życia!

A pracodawcy, którzy zawsze przekonywali Was, koledzy, że Wy, jako ich bezpośredni pomocnicy, nie możecie i nie powinniście iść razem z robotnikami, że taka solidarność byłaby zdradą w stosunku do przedsiębiorstwa, — obecnie z całą bezwzględnością, biorąc tylko interes własnej kieszeni i zimnej kalkulacji pod uwagę — pozbawiają Was pracy i chleba!

Wypadki wymawiania posad pracownikom, którzy po lat kilkanaście i więcej przepracowali w jednej firmie, wymuszanie na pracownikach „zgody” na redukcję plac, a nawet „dobrowolnego” wyrzucenia się przysługujących pracownikom praw do urlopu, 3 miesięcznego wypowiedzenia i t. p. — są to fakty codziennie.

A dzieje się to w okresie ponownego wzrostu, droż. spowodowanego masowym wywozem zagranicę artykułów pierwszej potrzeby, mimo wybitnie niepomyślnego wyniku tegorocznych urodzajów!

Wobec powyższego i w poczuciu wielkiej odpowiedzialności, która ciąży na nas, jako na reprezentacji całego zrzeszonego ogółu pracowniczego m. Łodzi jak najenergiczniej protestujemy przeciwko pominięciu pracowników umysłowych w ustawie o ubezpieczeniu na wypadek bezrobocia, przeciwko wymuszaniu na pracownikach wyrzucenia się przysługujących im praw do urlopu, 3-ch miesięcznego wypowiedzenia i t. p., przeciwko nieuzasadnionej i jedynie na chęci wyzysku opartej redukcji plac!

Zwracamy się przeto do ogółu pracowników handlowych, przemysłowych, biurowych i bankowych m. Łodzi z wezwaniem do najściślejszego skupienia się dokoła swych organizacji zawodowych, które wówczas z całą stanowczością i skutecznością bronić będą mogły słusznych interesów i praw pracowniczych.

Oświadczamy jednocześnie, że Związek Przemysłu Włókienniczego w Państwie Polskiem zawarł z nami w styczniu r. b. umowę cennikową, która nadal bezwzględnie obowiązuje wszystkie firmy, do tego Związku należące.

Międzyzwiązkowa Komisja Pracownicza:

Stowarzyszenie Handlowców Polskich
Związek Zawodowy Pracown. Handl. i Biurowych m. Łodzi,
Stow. Wzajemnej Pomocy Pracown. Handl. — Chrześcijan,
Związek Zawodowy Pracowników Handl. i Przemysłowych,
Związek Zawodowy Pracowników Bankowych.

Wrzesień, 1924 r.

480

RESZTKI i okazyjne sztuki

z fabryki Leonhardta

nadeszły: na ubrania męskie, damskie
dziecinne i palta. Tanio, ceny stałe.

Edmund Wasilewski

Łódź, Sienkiewicza 65.

Życie studenta.



I studentowi los się od czasu do czasu uśmiecha.

FELJETON.

Rozmowa z kostką w bruku.

Siedziałem właśnie nad rysztołkiem, nie mogąc się zdecydować na to, aby wstać i pójść dalej, kiedy nagle usłyszałem głośne westchnienie tuż pod moimi stopami.

Zapałem włoską zapalniczkę o brzeg kapelusza, oparzyłem się, i zacząłem patrzeć ciekawie pod stopy. Nic jednak nie mogłem spostrzec.

Po chwili westchnienie powtórzyło się, a jednocześnie usłyszałem piskliwy głos pod stopami.

— Dobry wieczór panu!
— Dobry wieczór! Kto mówi?
— To ja! Kostka z bruku!
— Dobry wieczór, dobry wieczór! Czemu mogę pani służyć?
— Chciałam porozmawiać z panem i pożalić się...

— Nie jestem biurem załatwien i wogóle żadnym zakładem użyteczności publicznej.

— Nic nie szkodzi, pan mnie wysłucha! Pan ma takie duże uszy!

— Wcale nie są takie duże!
— Mniejsza o to! Niech pan tylko posłucha, jaki mam marny los! Leżę tutaj od dwu miesięcy i każdy robi ze mną co mu się tylko podoba! Nie mówię już o ludziach! Te potwory depeją po mnie, plują na mnie, rzucają mi w twarz rozmaite śmiecie, ale to trudno. Dla nich zostałam położona tutaj! Ale weźmy naprzykład takiego konia! Ten jak zazwyczaj, to pożał się Boże! Potem stróż przez pół godziny nie może doprowadzić mnie do porządku swoją miotłą i siłkawką! Zaledwie skończy, przychodzi pies,

ustawia się w pozycji cyklisty — i znówu to samo!

Ozłowiek, koń, pies, ptak, stróż...

— To bardzo smutne, panno Kostko, ale muszą pani powiedzieć, że i mnie jest lepiej na świecie! Przedewszystkiem — człowiek. Stara się zawsze nadebrać mi na najczulsze miejsce, i napłuć tam, gdzie mi nie wolno. Stara się on pograć w tym śmietniku, w którym sam wyrósł i który stworzył. Po tem konie! tuje po komorne i co dzień przetrzymuje mnie po pół godziny przed zamkniętą bramą!

W końcu przychodzi — ona! Przewraca całe moje istnienie do góry nogami, sypie mi piaskiem w oczy...

I historia rozpoczyna się znówu od początku!

— Panie! Przestań pan gadać do rysztołka — odezwiał się za moimi plecami głos policjanta. — Idź pan lepiej do domu!

— Dobrze... Ale powiedz mi pan, gdzie ja właściwie mieszkam, bo ja tego...

Policjant przyjrzał mi się bawdawo.

— Niech mi diabli wezmą, jeżeli pan nie jest tym lokatorem z tego domu naprzeciwko!

Już czwarty raz w ciągu tego miesiąca widzę pana nierzeźwego!

— Przyjdź pan tutaj jutro o tej samej porze, to mnie pan zobaczysz po raz piąty — powiedziałem i popędziłam do domu, rzucając kostkę ostatnie pożegnanie.

Badył.

KRATCZKI SĄDOWE.

Siła przyzwyczajenia.

Przed sądem pokoju staje notoryczny złodziejask, mający poza sobą obfitą w przygody przeszłość kryminalną.

Odpowiada z więzienia, gdyż w Sądzie Okręgowym na jeszcze kilka spraw.

Oto jeden z etapów, przyspieszających zbliżenie się chwili tak upragnionej wolności, aby w dalszym mógł ciągu kontynuować zbożną pracę ogłacania swych bliźnich.

Sędzia: Oskarżeni jesteście z art. 581 kodeksu karnego. Czy przyznajecie się do winy?

Osk.: Kto, ja?

Sędzia: Tak, wy! Przyznajecie się do winy?

Osk.: Nic, panie sędzio, nie przyznaję się, bo mnie nikt za rękę nie złapał.

Sędzia: A gdyby złapano was za rękę — przyznalibyście się?

Osk.: Kto, ja?

Sędzia: Naturalnie, że wy! Przyznalibyście się?

Osk.: No, chyba, wysoki sędzio...

Sędzia: A więc, czy przyznajecie się, że w dniu 12 marca 1928 r. o godz. 7 wiecz. dobraliście się przez otwarte okno do mieszkania na parterze przy ulicy Podleśnej obok numeru pierwszego i zabraliście ze stolika, w celu przywłaszczenia leżącą tam biżuterję?

Osk.: Nie, wysoki sędzio, nie przyznaję się. Zresztą, co to za biżuterja była, same szkiełka czeskie i to mi odebrali...

Sędzia: A więc przyznajecie się w końcu, żeście biżuterję skradli?

Osk.: Kto, ja?

Sędzia: (zirytowany) No o-o-oczywiście, że wy! Dość tych głupich wykretów!

Osk.: Ja się, proszę wysokiego sądu, nie wykrećam, tylko powiadam jak jest i jak było, a reszta mnie nie obchodzi. Nijakiej Podleśnej ulicy nie znam, bo nie jestem tutejszy i nijakiej biżuterji nie zabierałem nikomu.

Sędzia: A coście wtedy skradli na Podleśnej?

Osk.: Toż powiedziałem, że to czeskie szkiełka były, a nie żadna biżuterja! Ja biżuterji nie brałem i na Podleśnej nie byłem.

Sędzia: Wobec tego zmuszony jestem przesłuchać świadków i wina wasza będzie udowodniona.

Osk.: No to niech już pan sędzia zostawi — powiem, jak było.

Sędzia: Nareszcie! Tylko prawdę mówcie.

Osk.: Ha się wi, że prawdę.

Otóż idę sobie ulicą, zimno mi było, więc sobie myślę...

Sędzia: Nikogo to nie obchodzi coście sobie myśleli...

Osk.: Ale mnie, proszę wysokiego sądu, obchodzi.

Idę sobie i myślę, skąd wziąć trochę foisy na paczkę papierosów, jako że palący jestem. Podnoszę głowę i widzę, że okno jakies na parterze otwarte. Myślę sobie: trzeba zająć do dobrych ludzi i ogrzać się trochę, a może herbatką poczęstują...

Sędzia: Do rzeczy, skracajcie się!

Osk.: Ja i tak jestem krótki, panie sędzio!

Sędzio: A więc streszczajcie się i nie pleść głupstw więcej!

Osk.: I tak mi, panie sędzio, we łbie trzeszczy ze zmartwienia,

że to były szkiełka, a nie brylanty. Ale nie — mówię dalej: zaszedłem do środka przez okno, bo mi było bliżej, jak przez drzwi i widzę, że na stoliku coś leży. Z samej ciekawości zabrałem do kieszeni, żeby sobie dokumentnie obejrzeć w domu znalezione rzeczy.

Sędzia: No i dalej?

Osk.: Nic, wysoki sędzio nie dali, tylko przyszli i zabrali mnie i szkiełka czeskie.

Sędzia pokoju 5. okręgu skazał Stefana Rajewskiego na 3 miesiące więzienia i opłacenie kosztów sądowych w wysokości 10 złotych. **Pik.**

Brak pracy — brak chleba.

Smutny los służącej.

(Jeż.) U państwa S. służyła przez dłuższy czas Fajga Dancyger.

Nadzwyczaj sumienna i pracowita, sprawowała się bardzo dobrze, ku zadowoleniu owych państwa, u których służyła.

Lecz czas się zmieniają...

Państwu S. zaczęło się źle wieść i z tego powodu musieli odprawić Fajgę.

W pierwszych dniach utrzymywała się Fajga z zarobionych na służbie pieniędzy.

Lecz gdy i te zasoby się wyczerpały znalazła się nagle na bruku bez pieniędzy

na kupienie kawałka chleba.

Zrozpaczona poczęła szukać pracy.

Szła od domu do domu, z mieszkania do mieszkania, chcąc znaleźć jakies zajęcie.

Ale szczęścia nie miała.

Dokąd przyszła, wszędzie z niechętną miną odpowiadano jej, iż jest zbyt ciężką.

Aż wyczerpana tem tułaniem się bez strawy od kilku dni po mięsie, usunęła się zemdlona na ulicy.

Nieszczęśliwą otoczyła gawiedź, komentowano tę rzecz i ktoś polecił zatelefonować po Pogotowie Ratunkowe.

Nieprzytomną Fajgę odwieziono do Zbiorni Miejskiej.

Energiczna trójka.

Napad na ulicy.

(Jeż.) Ulicą Dąbrowską szedł Władysław Jachno, robotnik, zamieszkały na tejże ulicy Nr. 3-5 i rozmyślał.

Chodząc zadumany nie spostrzegł, jak krok w krok za nim szli trzej mężczyźni.

W momencie, gdy nikogo na ulicy nie było, podskoczyli doń i poczęli go w straszny sposób

obijać.

Na krzyk obijanego zbiegli się przechodnie,

przybył i policjant, który całą tę kompanję,

wraz z mocno poturbowanym p. Jachno odprowadził do XIII-go komisariatu.

W komisariacie okazało się, iż są to trzej

bracia Barkowscy,

którzy

przez zemstę

napadli na pana Jachno.

Poszkodowanemu udzielili przywołany lekarz Podotowia Ratunkowego

pierwszej pomocy,

zaś Stefanowi, Karolowi i Antoniemu Barkowskim spisano protokół.

BOGDAN JEZIORAŃSKI.

58

Morderstwo przy ul. Piotrkowskiej

Sensacyjna powieść z życia Łodzi.

Nagle wyczuła, że jakaś tajemnicza ręka, chwytając ją za włosy i ciągnie ku górze.

Straciła przytomność.

Ratownik otuliwszy uratowaną, szeroką czarną peleryną, pochwycił wiosła i ruszył całą siłą

Łódź, z szumem prując fale, dojechała do brzegu, zarosłego gąszczami.

Wyskoczywszy na brzeg, tajemniczy szofer złożył ciało w zarosłach i pobiegł po oczekujący nań samochód.

Znalazł auto i szofera, reperującego jakiś defekt w motorze, na tem samym miejscu, gdzie stanęli.

Co się stało? — pytał zdyszany biegiem, zdaleka, przewidyjąc nieszczęście.

— Nic, szrubkę zakręcam, bo

się rozluźniła, palając na zziąjanego i dziwnie zachowującego się pasażera, odpowiedział szofer.

Dopadł i uchwycił ręką pochylone ramię reperującego, który aż zasyczał z bólu od tego uścisku.

— Słuchajcie, chcecie mi pomóc?

— Dlaczego nie, a za ile? — spytał, mrużąc filuternie oko.

— Jeśli spełnicie to co wam rozkażę, dostaniecie na rękę, po załatwieniu, 500 złotych, no jak, mówicie?

Szczwany szofer i jak wszyscy tego fachu, domyślił się, że interes musi być poważny, więc zażądawszy dla pewności zadatek, który natychmiast otrzymał, kiwnął głową na znak zgody.

Człowiek z myszką pod okiem, weigwał szofera w zarosłach i pokazując nieprzytomną Elę owiniętą w czarną pelerynę, kazał mu zanieść do samochodu.

Temu zbyt uśmiechała się myśl o zarobku aż pięciuset złotych w sposób łatwy, więc machnął tylko ręką i nie konkludując nawet, podniósł z ziemi zmoczone ciało i ruszył z ciężarem w kierunku auta.

Pan z myszką na twarzy uśmiechnął się ironicznie.

— Tak, panie Rykszo, znakomity detektywie, nie ja, to woda, tu revolver na tamtym świecie — szepnął nienawistnie i spojrzawszy z triumfem na staw, zadygotał nagle jak w febrze, bo dostrzegł wyraźnie Ryksze, płynącego z wysiłkiem w kierunku przystani.

Zaklął po grubiańsku i odrętwiały z przerażenia przebiegłszy kilka drózek, znalazł się przy aucie Rykszy.

Obejrzał się wkoło i nożem sprężynowym zaczął nerwowo rznąć i przebijać opony i kieszki w śmiertelnej obawie przed pościgiem.

Uczyniwszy samochód wroga nieużytecznym do jazdy, w mgnieniu oka przebył przestrzeń dzielącą go od wynajętej maszyny.

— Jechać największą szybkością — krzyknął na szofera.

— Dokąd?

— Z powrotem do Łodzi, do diabła, ruszaj prędzej — dopinając tego tłumionymi okrzykami.

Wyglądał strasznie. Na u-

stach osiadła mu piana. Wiedział, że każda stracona sekunda może zaważyć na szali.

Auto poderwane motorem, zadrgało i z miejsca pomknęło jak strzała.

Tajemniczy szofer nacisnął kapelusz na twarz i pochylwszy się patrzył w utłozone na dnie samochodu ciało Eli.

Benz prowadzony piekielną szybkością malał, rzedniał i wreszcie rozplynął się w powietrzu.

Ryszard w czasie katastrofy uderzony mocno burtem przewracającej się do góry dnem łodzi, co go chwilowo zamroczyło, dostał się pod nią i po kilku nadaremnych, bezorientacyjnych w powodu otrzymanego ciosu, wysiłkach wydobyć się na światło dzienne, skrył się pod wodą.

Odyskawszy, w lodowatej toni przytomność świetny pływak, chociaż opłatany lodygami lilij i wodorosli, kilkoma silnymi uderzeniami rąk wyłostał się na powierzchnię stawu.

Z rozbitego czoła szeroką strugą spływała krew i zalewała mu oczy. Nie myślał o towarzysze, wiedząc o tem, że lada chwila

la może ponownie stracić przytomność.

Należało się ratować. Odzież nasiąkła wodą, ciężła niewymownie. Resztkami sił płynąc dotarł do mielizny, a stąd chwycając się jak drzewo targane wichrem i padając co chwila, dorwał się do brzegu, na którym wybudowano prowizoryczną przystań.

Pomimo braku przytomności, jaki wydarł się z gardła tonącej Eli, nikt go nie posłyszał, bo przystań świeciła pustkami i zachowała swój dawny spokój.

Omdlałego z upływem krwi detektywa zauważył na deskach przystani wychodzący z restauracji a właściwie z pokoju bilardowego, nie wesołych partjach w karambole, jego szofer.

Snojrzał i oniemiał. Zdawało mu się, że śni, więc przetarł oczy i spojrzął jeszcze raz.

Nie, nie miał się w zupełności; człowiekiem, który leżał w zmoczonem ubraniu, z rozciętą na czole głową był jego pan, Ryszard Rykszo.

(D. c. n.)

Felek Mientus ma głos.

Tera, ma się wi, wyglądam jak jaki hrabia, co to psy obrabia i we wogóle nabieram manierów jentelgentnych, bo trzeba przecie fason trzymać.

Ale jedno mnie gnębi: od-ciski.

Jakiem pierwiej dreptał w moich łapciach, z wentelacją od góry i od dołu — odcisków ni-jak nie czulem, a tera ten no- wy prawy pantofelek (pan — to Felek), jak na złość gnębi maie i ugniata, aż w zondolku mgli.

Ale to nic... chłop jestem mocny w girach i strzymam tak długo, aż się przyzwyczaje.

Hanke na cały dzień puści-łem kantem — niech co chce robi na swoim renke — a sam puściłem się na miasto, żeby kłnąć, co sie tam dzieje.

Na samym poczotku mia-łem ci nielada przygode.

Przechodze Pietrynom bez drogie, żeby sobie dulecwo tro- che egipskich albo innych mo- nopolowo-afrykańskich kupić, a tu ci odrazu, ni przypoił, ni przyłatał — leże na ziemi roz- ciongnięty, jak ten nieboszyk w trumnie.

— Co jest, do balzamowa-nej franeli?! — krzycze, — bo czuje, że mnie ktoś przewrócił.

Patrze, a kole mnie leży także ajakże wścieklista jakiś z rewerem.

Podnosi się ten łachudra i dawaj na mnie pysk drzeć, jak te stare przecieradło i rugać.

— Co sie pan — powie- — penta mi pod maszynom.

Zapłać pan za połamane spry- chy, a nie — to do komisarjatu pójdzieny z postronkowym i spiszymy pretokul.

A ja na niego:

— Zamknij walize, bo ci no- gom wliże wyrostku lilipuci.

Przymknij śmietnik, bo czuje z niego i wynocha stąd — marsz!

Bidny wścieklista dostał pie- tra, siadł na maszynie, pojechał dalej, a ja otrzepałem sie tro- che i pomasierowałem na „gór- kę“ — na bielardy.

Przychodze tam: jaki rej- wach, co za ruchawka, gały jadom po stolach, kijaszki aż mgajom w powietrzu — a w czlowieku szerce rośnie, bo to przede moją tlebliona gra.

Udaje z gupia frani i klap- nął mi se na lawce pod scia- tami, wedle stolu, gdzie to tota- lizator siedł na taty regulator. Stawiajom wszyscy — sta- wiam i ja. Wygrałem.

Dobra jest — myślę sobie — może uda mi sie nabici frajera jakiego w butelkie i eo myśli- cie: nie skończyłem pomyśleć, a ciężki frajer jakiś podchodzi do mnie i pyta:

— Czy pan szanowny, za- grałby partytkie?

— Ale ja ledwo umiem grać

— picuje mojego gościa.

— To nic nie szkodzi — powie- — aby tylko czas prze- pędzić...

Gramy jednom, gramy dru- gom, przy trzeciej idzie już o 10 zlociszów...

Przegrałem jednom, drugom, trzeciom już wygrałem, czwar- tom tyż, piątą także, szóstom — ajakże i wyszedł mój frajer z mokrym łbem, a ja ze 120 zlot- kami w kieszy.

— Dobra jest! — myślę so- bie.

Chodze tu, chodze tam i śle- pia jeno wyrzeczam na to, co to sie w naszym Łodzi dzieje: w tym kontku grajom w domi- no, w tantym krencom na nu- mery, aż im sie ślepie świecom.

Znudziło mnie to wszystko i z wygranemi zlotkami syple do Hanki, jak że sie za niom stensknilem siarczyscie, a ta la- firynda do mnie z pyskiem a z grabiami do pyska.

— A gdzie sie, łagusie je- den szwendrasz bezemnie? Czy ja ci to niby nie żona, chociaż niesłubna?

Niemoralność panny Kazi.

(Przyczynek do stosunków mieszkaniowych).

Co to jest moralność?

Trudne to określenie, bowiem rozmaicie ją sobie ludzie w dzi- siejszych czasach wyobrażają; więc — dla jednych uosobieniem moralności jest cnotliwa kobieta, w szacie „bez dekoltu“ zapiętej od góry do dołu; dla innych znów — meżatka, która poza książką: „365 przepisów kuchennych“ — innej literatury nie zna i nie czy- ta. Są wprawdzie i ludzie, któ- rzy uważają, że moralna jest nagość... bez listka figowego

a pornografią — grzeszne ciało w... bielźnie, ale to... już są idea- liści cnoty.

Ja o „moralności“ mam poję- cie zupełnie inne, „swojskie“, w każdym bądź razie nie takie, ja- kie urobiła sobie pani Michocka, właścicielka pensjonatu.

Ze pani Michocka ma pensjo- nat — to nie złego; że ma kapry- sy swoje — możnaby było wy- trzymać, że jest jednak niewiastą już w wieku podeszłym, to głów- nie stało się przyczyną różnych niesnasek i sporów między nią, a młodą i wielce urodziwą boha- terką

panną S.

Panna S. wprowadziła się do pensjonatu po p. Olgierdzie Czar- neckim, który jej podobno pokój swój odstąpił. Właścicielka pen- sjonatu, niezadowolona z tego obrotu rzeczy, oświadczyła na głos, że

panny Kazimierzy za lokatorkę nie uważa,

i nie przyjmowała od niej pienię- dzy za komorne.

Ze jednak panna S. nie wiele sobie robiła z „humorów“ starej gospodyni, więc też „conté que conté“ — mieszkała nadal.

Wówczas zawiązała się prze- ciwko niej groźna „koalicja“, zło- żona z mamy — właścicielki pen- sjonatu, jej córki, oraz pani Cze- kajewskiej, gospodyni, również z córeczką.

„Koalicja“ zaczęła działać, stawiając sobie za zadanie wy- rugowanie panny S. z zajmowanego przez nią pokoju.

Jak wiadomo — pierwszym i najważniejszym do tego warun- kiem jest „sprawowanie“ się lo- katorce, a że, według opinji są- siadek —

panna Kazia zasługiwała na sto- pień mniej, niż dostateczny pod tym względem —

sądzono, że sprawa nie będzie zbyt trudna.

Pokój panny S. znajduje się obok klatki schodowej i oto, jak zaobserwowała służąca, każdej nocy rozlegają się

jakieś tajemnicze pukania w ścianę

poczem panna S. otwiera drzwi, ktoś wchodzi, w pokoju jej się ściemnia i t. p.

Zawiadomiony o fakcie tym komisarjat, na prośbę pani Mi- chockiej wydelegował na miejsce domniemanego „przestępstwa“ przodownika, który miał stwier- dzić,

co panna S. robi w nocy?

Pewnego więc razu po półno- cy ktoś energicznie zapukał do jej pokoju. Z za drzwi odezwał się wylekty głosik:

Paź w klatce dostaje epilepsji.

(Jeż.) Znany atleta na bruku warszawskim,

Władysław Paź,

został

aresztowany i osadzony w urzę- dzie śledczym

przy ulicy Gdańskiej.

No i nic... przeszła jakoś ta burza spokojnie.

Ale wtem przypomniałem so- bie ważny jenters na mieście i pytam sie Hanki:

— Która jest godzina?

A ona:

— Za kwadrans pionta —

— Kto tam?

— Otworzyć, policja!

Po tych słowach w pokoju zapanował ruch i po chwili drzwi otworzono.

Przodownik wkroczył do wne- trza i tam stwierdził obecność rozkosznej panny Kazi oraz jakie- goś młodego pana, który jak się zdawało, był nadzwyczaj zajęty zapinaniem sobie na spinkę kol- nierzyka.

— Co pan tu robi? — spytał przedstawiciel prawa.

— Jak pan widzi, zapinam kolnierzyk! — odparł z angielską flegmą zapytany, poczem roz- mowa potoczyła się dalej, prowa- dzona jednak z obu stron w nader uprzejmym tonie.

Przodownik, spełniwszy po- winność, wyszedł z pokoju, pan obecny tam, jak się później oka- zało, mecenas Z. — pozostał dłu- żej.

Pani Michocka — nie posiada- ła się z radości, miała nareszcie w ręku, jak się zdawało,

druzgocący dowód

„niemoralności“ panny S.

Pospieszono więc ze złoże- niem skargi, powołano szereg świadków, w tej liczbie, oczywi- ście dwa pokolenia gospodyni, kucharek i t. p. I co się okazało: oto świadkowie dowodowi przed- stawili pannę S. w świetle pra- wie... Bocacciowskim.

Widzieli nieomal dziesiątki mężczyzn, przechodzących do panny S. o każdej porze dnia i nocy, widzieli ją w negliżu i „je- go“ — kosuli; jakis w podes- złym już wieku będący p. K. szukał w niej

podpory starości

lecz, niestety... zawiódł się; inny znów lokator biegł za panną Ka- zią po korytarzach i obcałowy- wał ją po rączkach i... słowem — zdawało się, że ma w sobie taki magnes, że

wszystko i wszystkich przyciąga!

Ale byli i inni świadkowie, bardzo coprawda niewygodni dla strony oskarżającej, niemniej je- dnak ludzie, do których można i należy mieć zaufanie.

Ozy panna S. prowadzi się „moralnie“? — oto pytanie, któ- re interesowało sąd.

A więc dobrze — czy można nazwać niemoralną kobietę, która żyje „na wiarę“ z tym właśnie panem Z., którego pamiętnej no- cy zastał... policjant?

Czyż dla tego ma być ona traktowana jak ostatnia ulicznica, ścigana policyjnie, piętnowa- na publicznie? Sądzę, że w za- danem społeczeństwie kulturalnem takby nie postąpiono, a u nas tylko ustawa o ochronie lokato- rów

ten właśnie typ zatargów wy- wolala!

Jak najlepszą opinję o pozwa- nej dał cały szereg osób, przy- czem, jak się okazało sama nastaw- iająca na „cnotę“ panna S. go- spodyni Czekaiewska jest pod wielkim znakiem zapyta- nia!

W sprawie tej sąd wydał wy- rok oddalający powództwo Mi- chockiej.

Zmarłwiony tym widocznie bardzo dostał

ataku epileptycznego.

Pogotowie Ratunkowe udzie- liło nieprzytomnemu Paziowi pier- wszej pomocy, poczem w stanie zadawalniającym pozostawiło go na miejscu.

odpowiada.

— Ja sie nie pytam, która będzie za kwadrans, tylko któ- ra jezd tera — łapie kapelinder nowy i bryk na miasto.

A wienc — dajta buzi z du- beltówki do jutra.

Wasz Felek.

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

(ga.) Pan Antoni był przy- stojnym młodzieńcem.

Liczył 21 wiosen i cieszył się u niewiast

niezgorzszem powodzeniem.

Nieże się działo na świecie panu Antoniemu.

Póchoził wprawdzie z rodzi- ny urzędniczej, ale w domu wszy- skiego było pod dostatkiem, gdy więc i sam dostał nienajgorszą posadzinę, nie miał powodu do narzekania

na los.

Los jednak chciał, że na we- selu jego siostry, zapoznał się z krewną jej męża,

panią Hanką.

Pani Hanka była kobietą śli- czną i fertyczną. Nie więc dzi- wnego, że serce pana Antoniego roztopilo się niby lód,

pod wpływem gorących spojrzeń pani Hanki.

Pan Antoni stał się codzien- nym gościem pani Hanki.

Pani Hanka jednak była ko- bietą uczciwą i w przyzwoitej od- ległości trzymała zakochanego młodzieńca.

Co jednak najbardziej dziwi- ło pana Antoniego to to, że mąż pani Hanki zdawał się

absolutnie niedostrzegać

uczuci pana Antoniego dla jego nadobnej połowicy; przeciwnie,

— wprost

ułatwiał im rendez-vous.

Zwykle, gdy pan Antoni przy- chodził, mąż pani Hanki brał za kapelusze i

wychodził z domu.

To postępowanie zdziwiło o- krutnie pana Antoniego, gdy się ma żonę tak pełną ponęt, jak pa- ni Hanka — absolutny brak za- zdrości ze strony jej męża, wy- dać się mógł

cokolwiek dziwnym.

Tedy pan Antoni poczuł się mi- łoś jego do pięknej pani Hanki wzrastała z dnia na dzień.

Pewnego razu, przechodząc o- zmroku ulicą Przejazd, zobaczył pana Władysława (tak bowiem zwał się mąż pani Hanki) pod ręką z jakimś młodzieńcem, dzie- wiatkiem a z nimi brodatego, siwego pana, wyglądającego na obywatela ziemskiego.

To spotkanie

Teatr Miejski.

Dziś po raz trzeci „Gałga- nek“ Niecodemiego. Sztuka je- dnego z najznakomitszych ko- medjopisarzy współczesnych od- znacza się niezwykle żywym i barwnym dialogiem, a przytem jej, niemal farsowe sytuacje o-

zaintrygowało pana Antoniego.

Usnął się nieco w bok, aby go pan Władysław nie poznał, a potem poszedł za nimi krok w krok

— dsluchując pilnie.

I dowiedział się rzeczy prze- rażających.

Ni mniej, ni więcej pan Wła- dysław był

zarem... z rumianem dziewcząt- kiem.

Pan Antoni uszom nie dowie- rzał. Ale cóż — wszystko było najświętszą prawdą.

P... Antoni nie wiedział co uczynić. Czy uprzedzić ojca pa- nienki? Czy może jeszcze pre- dzej

zawiadomić nieszczęśliwą panią Hankę?!

Wybrał to drugie, i w te pę- dy

pobiegł do swej ukochanej.

Począł przekładać pani Hance podłość jej męża i swoją wierną miłość.

Począł obiecywać złote góry swej ukochanej

— i dopiął celu.

Teraz należało jeszcze zgę- bić przeciwnika.

Po wielu zachodach pan An- toni odnalazł ojca panienki, z którą niby to miał się pan Wła- dysław

żenić.

Poczołw starzec był najmo- cniej przekonany, że pan Włady- sław

był kawalerem.

Postanowił więc rozprawić się przy najbliższej sposobności ze swym

niedoszłym zięciem.

A jak się z nim rozprawił, dość powiedzieć, że pan Włady- sław przez dwa tygodnie nie mógł

podnieść się z łóżka.

Pozatem żona nic nie chce sły- szec o nim, gdyż

przejrzała jego grę.

Panu Władysławowi bowiem chodziło o to, aby znaleźć żonę swą in flagranti z panem Anto- nim i mieć

powód do rozwodu.

A co do pana Antoniego, to ma się coraz lepiej i zażywa roz- kosznego żywotka z panią Han- ką.

Teatr Popularny.

W piątek dn. 26 bm. wcho- dzi na afisz zapowiadana świet- na komedia Przybylskiego „Wi- cek i Wacek“. Pogodna sztuka jednego z najbardziej lubianych polskich komedjopisarzy pełna werwy, humoru i temperamen- tu, jaki krzesają dwaj wiejscy panice w spokojnym dworku Klepackiego — stanowi perłę repertuaru każdego teatru.

Komedia Przybylskiego wien- czyła triumfy przez długie lata na scenach stołecznych i pro- wincjonalnych.

Szczęśliwa sztuka, która o- bok humoru zawiera w sobie

wiane są subtelną poezją, któ- rej zawdzięcza swoje powodne- nie na wszystkich scenach Eu- ropy.

Gra i niezwykle staranna reżyserja podnoszą urok tej przemijej komedji.

„Wicka i Wacka“ nie gra- no od lat 10-ciu.

Rolę dwóch wisusów grają pp. Kubiński i Niedziałkowski — inne role spoczywają w rękach pań, Bartoszewskiej, Fi- szcerówny, Brandtówny, Mar- szyskiej, Zielińskiej, Żerom- skiej, Staszewskiej, oraz panów Bieleckiego, Bolkowskiego, Chmurkowskiego, Gałęckiego, Puchalskiego i in. Reżyse- rował M. Bielecki.

Śmierć dziecka pod tramwajem

(Jeż.) W dniu wczorajszym przy ulicy Konstantynowskiej zdarzył się wstrząsający wpa- dek.

Oto na chłopca przechodzące- go środkiem chodnika najechał tranwaj miażdżąc mu część tu- łowia.

Zawezwane na miejsce wy- padku Pogotowie Ratunkowe skonstatowało zgon.

Nazwiska chłopca do tej po- ry nie ustalono.

Zwłoki pozostawiono na miej- scu do czasu zejścia komisji są- dowo-śledczej.

NOWINY SPORTOWE.

Dwudniowy program.

„Derby łódzkie“.

Zainteresowanie w łódzkich sferach sportowych jest nadzwyczajne, i gdzie się tylko ruszy, daje się zauważyć jedyny temat, którym jest rozstrzygające spotkanie o mistrzostwo pomiędzy drużynami.

L. K. S.—L. T. S. G.

I jak zazwyczaj w takich wypadkach bywa, zdania są biegunowo podzielone.

Ostatnią, słabą grę, L. T. S. G. z Siłą tłumaczy sobie licznymi błędami sportowców w ten sposób, że L. T. S. G. grając umyślnie słabo, chciało tem swego najsilniejszego rywala, wyprowadzić w roli, inni znów mówią, że był to zwykły trening przed największą przeszkodą, jaką L. T. S. G., w swym stroju do mistrzostwa ma do przebycia.

Ci ostatni mają poniekąd rację, gdyż Towarzystwo „wzięło“ już z niebywałą łatwością wszystkie przeszkody, zwyciężając lekko:

Turystów, Union i Siłę, pokonało się natomiast niezupełnie zasłużenie na L. K. S., t. j. na swej pierwszej przeszkodzie. Respekt, jaki sobie Towarzystwo u tych trzech słabszych przeciwników zdobyło, jest nie bez znaczenia. Bowiem o zwycięstwie w drugiej serii rozgrywek, nie ma-

rzy już żaden z nich.

Nieco odmiennie, a zatem gorzej przedstawia się sprawa z L. K. S., który przeskoczył wprawdzie jedną z najtrudniejszych i jedną z najłatwiejszych przeszkód, licząc się więc z tem że może on się potknąć na jednej z średnich, nie wyłączając, rzecz zrozumiała niedzielnego „derby“, które niewiadomo jak się skończy.

W każdym bądź razie, zainteresowanie jest wielkie, zakłady dochodzą już wprost do nieprawdopodobnych sum, pomimo, że nikt jeszcze nie wie, w jakim skądzie wystąpi L. K. S., z powodu choroby Fejera, po meczu z Siłą.

Prorokować jest tu bardzo trudno, aczkolwiek za L. K. S. przemawia lepsza technika i dwu tygodniowy odpoczynek, zaś za L. T. S. G. nieprawdopodobna siła bojowa i ambicja.

Nie bez znaczenia jest tu również system gry, jakiemu L. T. S. G. hołduje, a który to system, jest przez rutynowanego przeciwnika, możliwy do opanowania.

Zresztą zobaczymy w niedzielę, przyczem wypada zaznaczyć, że faworytem jest L. T. S. G., którego zwolennicy ryzykują wiele.

Fr. Romanek.

Sportowcy się bawią!

W sobotę, dnia 27-go b. m. o godzinie 8-jej wieczorem w sali Handlowców, Al. Kościuszki 21, odbędzie się *Wielka Zabawa Ta-*

neczna, urządzona przez sympatyków klubu sportowego „Concordia“ w Łodzi.

Kino Spółdzielni Pracowników Państw.

Pożycie małżeńskie państwa Heath było jednym nieprzerwanym pasmem niezmiernie niezłomnego szczęścia. On był znakomitym rzeźbiarzem — ona kobietą o niezwyklej urodzie, pozowała mu do ostatniej statui Madonny. Była dlań natchnieniem i podnieciem do pracy. Lecz zawistny los odbiera nagle rzeźbiarzowi żonę. Rozpacz artysty nie ma granic. W kieliszku szuka zapomnienia, talent jego marnieje. Zakochana w nim młoda kobieta staje się demonem jego życia. W jej namiętych ramionach artysta znajduje chwilowe ukojenie. Lecz niabawem następuje chwila opa-

miętnia. Rzeźbiarz, odkrywszy w guwernantce swego dziecka niezwykle podobieństwo do swojej zmarłej żony, zabiera się do pracy ze zdwojoną energią. W niej odkrywa zalety, które go tak pociągały ku zmarłej. A gdy dzieło zostało ukończone, artysta rozkochoł w swej pięknej modelce, u stóp jej składa swe serce i sławę.

Obraz powyższej treści wyświetlany już obecnie w kinie Spółdzielni Pracowników Państwowych.

Technika bardzo dobra.

W rolach głównych słynna z urody Mary Miles Minter i Jack Holdt.

Cyrk Cinisellogo.

Cyrk nasz cieszy się coraz większym powodzeniem.

Codziennie tłumy osób zapelniają obszerną arenę, aby podziwiać czy to popisy „fruwających ludzi“, czy „człowieka akwarjum“, czy karkołomne popisy młodzieńczej „Rosy“ na drabinie, czy też wreszcie niewidzianą dotychczas w Łodzi tressurę koni dyr. Cinisellogo i występy najniebezpieczniejszej woltorki w świecie.

Występy klounów, których cyrk posiada czterech wywołują huragan śmiechu. Udatne są zwłaszcza kuplety duetu „Eddy“.

Zaznaczyć należy, że Dyrekcja cyrku w trosce o wygodę swych bywalców, zamieszkałych na krańcach miasta, postarała się o specjalne wagony tramwajowe na Górny Rynek i na Widzew, oraz na Stare Miasto.

14 lat więzienia za morderstwo.

(B) Wyrokiem sądu w Paryżu została skazana na 14 lat ciężkiego więzienia Lauretta S. matka 18-letniej Henrijetty.

Naręczony tej ostatniej porzucił ją na parę tygodni przed

ślubem.

Zrozpaczona matka, nie mogąc znieść tej hańby, zabiła go w przystępie wściekłości nożem kuchennym.

Sąd skazał ją na 14 lat ciężkiego więzienia.

Tajemnicza rzeźba.

Tragedja książęcej rodziny.

(B) Zamek książąt Zarandy na Węgrzech został sprzedany. Ostatni z książęcej rodziny sprzedał go za marne pieniądze jakiemuś zubożonemu parweniuszowi.

Nowy właściciel rozgłosił się w prastarych murach zamku, kazał odświeżyć go, uporządkować zaniedbany park z licznymi grokami i altanami.

Po tygodniu zamek miał zupełnie inny wygląd.

Jedynie jedna z altanek stojąca w głębi parku, nie została wewnątrz uporządkowana, z tej przyczyny, iż była szczelnie zamknięta, a klucza w żaden sposób nie można było odnaleźć.

Zaintrygowany tym nowy właściciel polecił siłą drzwi otworzyć.

Zyczeniu jego stało się zadostę, drzwi zostały wylamane, a wkraczając do wnętrza ludzie ujrzeli na środku altany statuetkę przedstawiającą młodą kobietę w amazonce, z wnieioną spicrutą w rękę.

Statua stała na wysokim piedestale, i obryzgała była krwią. Czuł było w powietrzu jakąś tragiczną tajemnicę.

Nadaremnie starano się wyjaśnić, skąd pochodziła krew na postaci młodej kobiety, dopiero dzięki przypadkowi dowiedziano się o wszystkim.

Oto nowy właściciel zachwycony statuetką, rozkazał ją staremu lokajowi przenieść do pałacu, lecz przedtem zmyć krwawe plamy.

Lokaj z płaczem rzucił mu się do nóg, błagając, by Jolanę z altany“ zostawił w spokoju.

Zaciekawiony tym, rozkazał mu właściciel zamku opowiedzieć całą historję.

Stary sluga, będący od 60 lat przy rodzinie książęcej i znający dokładnie jej dzieje opowiedział.

Dziadek ostatniego z książąt Zarandy mieszkał, po stracie żony, z córką na zamku.

Dzień cały dzielił między polowanie i sztuki piękne, których był gorącym wielbicielem.

Córka, Jolanta wychowywała się pod okiem surowej guwernantki.

Gdy doszła do lat 19 była piękną dziewczyną, o rękę której ubiegali się najznakomitsi przedstawiciele węgierskiego świata arystokratycznego.

Pewnego dnia do zamku przyjechał młody Włoch, sprowadzony przez starego księcia.

Był to Beppo, znakomity rzeźbiarz, młody, 20-letni o kruczoczarnej czuprynie i akrobacyjnych oczach.

Jolanta była nim zachwycona, lecz jednocześnie niemile zdziwiona.

Ona, przyzwyczajona do komplementów, miałaby być w ten sposób wzgardzona przez jakiegoś przybłądę — włocha, który nie raczył się nawet do niej odezwać.

Mimo woli zapanowała między nimi nienawiść.

Spotykali się wprawdzie codziennie, lecz prócz paru słów przywitania nie z sobą więcej nie mówili.

Tak przeszło dwa miesiące. Pewnego wieczoru spotkali się w parku, i po kilkugodzinnej rozmowie on się przekonał, iż ma do czynienia z dziewczyną o głębokim umyśle i wielkim poczuciu piękna, ona zaś, iż Beppo jest jakimś innym, od spotykanych do-

tychczas młodych ludzi.

Od tego wieczoru, odwiedzała go codziennie w jego atelier urządzone w najodleglejszej altanie.

Pewnego dnia przyszła w obcisłej amazonce, która w doskonały sposób uwidaczniała jej oudne kształty.

Gorący włoch nie mógł zapanować nad swymi zmysłami i złożył na jej czerwonych ustach gorący pocałunek.

Oszolomiona tym dziewczyna, uderzyła go trzymana w rękę szpicrutą w twarz i uciekła.

Zerwali z sobą wszelkie stosunki i nie widzieli się przeszło trzy tygodnie.

Straszny wieczór.

Pewnego wieczoru, spacerując po parku, zaszła bezwiednie w stronę altany Beppa.

Pusto i cicho było tam, sądząc, iż nikogo nie zastanie, weszła.

Jakież było jej zdziwienie,

gdy na środku altany ujrzała siebie, w obcisłej amazonce z wyrazem dumy i wściekłości stała tam wykuta w marmurze z wnieioną do uderzenia spicrutą.

Nagle drgnęła...

Przed nią stał Beppo.

Nie wiedziała jak się to stało, że ramiona włocha ją objęły, na ustach uczuła jego spieczone wargi i... zapadła w słodkie omdlenie.

Obudził ją straszny krzyk.

Otworzywszy oczy ujrzała na środku salki swego ojca ze wnieionym do góry młotem i Beppa w kałuży krwi z roztrzaskaną na ziemi.

Dumny magnat nie mógł darować tej hańby, by córka jego była kochanka żebraka.

Jolanta w kilka dni potem utopila się w stawie.

Nowy właściciel zamku kazał statuetkę przenieść do pałacu, ale plamy krwiste zostały nie zmyte.

Nowy cudotwórca.

(B) B. 10-tem dnia w Petersburgu jest 68-letni cudotwórca Anizim, nowy rosyjski Rasputin, który stanął na czele ruchu antyreligijnego.

Prawą jego ręką jest chłop z pod Pskowa, niejaki Kalacznikow.

Obaj oni stoją na czele związku, ongiś bardzo religijnego, w lokalu którego wisiała „ikonka“, dziś związek ten ruguje zupełnie religję, a na miejscu Matki Boskiej wisi portret Lenina.

Salę, w których Anizim wygłasza prelekcje są stale wypełnione, przeważnie kobietami i dziećmi.

Każdy z należących do związku nosi na piersiach odznakę.

Przy drzwiach stoi dwunasto męczyzn w szerokich bufiastych spodniach i „kasawarotkach“.

Są to apostołowie.

Każdego poniedziałku od 8 rano do 8 wieczór Anizim przyjmuje chorych i kaleki, których uzdrawia.

Tłumaczy on to tem, iż odwieczający go chorzy, wierzą talk bardzo w niego, iż leczą się auto-sugestją.

Pacjentom swym pokazuje zwykłe kobiety, wyleczone przez siebie ze ślepoty, i 28 kal, które zostawili na pamiątkę uzdrowienia przez niego inwalidzi wojenni.

Z godziny na godzinę wzrasta liczba zwolenników Anizima.

LIST Z MADRYTU.

Ciekawy proces

Ustąpieniu Primo di Rivery.

Ciekawy proces toczy się obecnie przed sądem madryckim.

Znany i ceniony autor hiszpański Pio Baroja oskarżył swego wydawcę o oszustwo.

Sprawa przedstawia się następująco:

Ostatnia powieść Pio Baroja... tylko w jednym wydaniu.

Będąc latem w Ameryce Północnej, zauważył Pio Baroja, w jednej z księgarni swą powieść pod tytułem: „Ciekawe przeżycia Shauty Andia“ pierwsze wydanie Madryt 1920.

Napis był wprawdzie ten sam, lecz papier był zupełnie inny.

To nasunęło podejrzenie autorowi, iż wydawca bez jego wiedzy wydał drugie wydanie.

Po przyjeździe do ojczyzny, skierował sprawę do sądu.

Sąd po rozpatrzeniu „corpus delicti“ wydał wyrok, skazujący nieuczciwego wydawcę na zapłacenia autorowi 20,000 pesetów.

Proces ten dał temat wielu gazetom, które w dobitny sposób napiętnowały traktowanie autorów przez ich wydawców.

Wielu ze znanych zagranicą pisarzy hiszpańskich żyje z tego powodu w ostatniej nędzy.

Gwiazda dyktatora Primo di Rivery blednie.

Szeroko już mówią o ustąpieniu tegoż i powołaniu na to stanowisko starego generała Veylera.

General Veyler jest synem niemieckiego emigranta, który w ubiegłym stuleciu przesiedlił się z Hamburga do Hiszpanji.

Obecnie liczy lat 85 i jest najstarszym żołnierzem w Hiszpanji.

W szeregach armji wstąpił przed 61 laty.

Mając lat 29 został szefem sztabu generalnego na wyspie Kubie, a w kilka lat potem mianowany został generałem.

Nie też dziwnego, iż król Alfons, chciałby władzę najwyższą przejąć w jego ręce.

Gdyby to się faktycznie stało, byłby general Veyler senjorem dyplomatów europejskich.

Tadeusz Strzyp.

Teatr Miejski	Teatr Popularny	Luna	Kino Spółdz. Pracow. Państw.	Miejski Kin. Oświatowy	Cyrk Ciniselli	Miejska Galeria Sztuki
godz. 8:15 „Gałganek“	godz. 8:15 „Wicek i Wacek“	„Kupiec Wenecki“	„Stargane nici szczęścia“.	„Helena i upadek Troi“.	godz. 8:30 Program Nr. 1.	od godz. 8-jej rano do 10-jej wiecz. Wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i t. d.

Ogłoszenie.

Inspekcja Budowlana przy Magistracie m. Łodzi, podaje do publicznej wiadomości, że na zasadzie art. 27 ustawy z dnia 11-go kwietnia 1924 roku (Dz. Ust. № 39 z dnia 10. V. 1924 roku, poz. 406) od dnia ogłoszenia rzeczony ustawy aż do dnia 1-go lipca 1928 roku, pomieszczenia mieszkalne nie mogą być przerabiane na biura, kantory, składy, teatry, kinematografy, pomieszczenia, służące do gry, zabawy lub pomieszczenia handlowo-przemysłowe, ani też na jeden z tych celów oddawane w używanie.

Wobec powyższego plany na przeróbki pomieszczeń mieszkalnych na wspomniane cele będą zwracane bez zatwierdzenia.

Łódź, dnia 22-go września 1924 r.

Magistrat m. Łodzi.

484

Miejski Kinematograf Oświatowy, Wodny Rynek Nr. 44.

Od dnia 21-go do 28-go września r. b. włącznie:

Helena i upadek Troi

Dramat mitologiczny w 6 częściach (serja I).

483

Na raty i za gotówkę

poleca wielki wybór

UBIORÓW

męskich
damskich i
dziecinnych

oraz obuwia

Chrześcijański Dom Ubiorów **A. CABANEK, Łódź**

Napiórkowskiego 49. Filja Piotrkowska 275.

Zakład krawiecki damski

Sz. Kaczka

6-go Sierpnia (Benedykta) 10.

Sezon jesienny i zimowy się rozpoczął.

Zielony Rynek № 2, front
Rajnhold Hanke

buduje kuchnie przenośne modne różnych fasonów, oraz piece. Przyjmuje także obstalunki.

443

Otrzymałem z dniem 25-ym sierpnia 1924 r.

ZASTĘPSTWO FABRYKI naczyń emaljowanych na Województwo Łódzkie.

Tow. Akc. „GOTARTOWICE“ (Górny Śląsk)
specjalnie co do wyrobów działu

tablic emaljowanych

Zgłoszenia na szyldy i tablice emaljowane dla fabryk, kantorów, przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych. Jakoteż dla pp. rejentów komorników (z godłami państwowymi), adwokatów, lekarzy, dentystów, akuszerów i innych, przyjmuje:

Biuro zamówień na szyldy i napisy emaljowane

LEON MIGUŁA

Telefon 27-43 Łódź, ul. Nawrot 16. Telefon 27-43.

Szyldy i napisy są wykonywane trwale w dowolnych kolorach i wzorach, odporne na działanie atmosferyczne.

CENA szyldu lub napisu emaljowanego równa się cenie szyldu lub napisu na blasze, sposobem malarskim

452

TANIE OBUWIE

445



MĘSKIE I DAMSKIE NAJNOWSZYCH FASONÓW
WYRÓB WŁASNY! GWARANCJA ZA DOBRÓĆ!
R. GAŁECKI, KILIŃSKIEGO № 47.

Kto ma stare ramy

do obrazów i luster oraz meble do pozłocenia, odnawia zupełnie na nowe
poziłotnik **J. KRĘZLEWSKI,** ul. Podleśna 22.

429

Młody

inteligentny człowiek

z dobrymi referencjami, z kilkuletnią praktyką biurową handlową poszukuje posady. Oferty sub. „Referencje“.

475

Uczeń 7 klasy

poszukuje korepetycji. Wiadomość: Ogrodowa 26, sień 11, m. 8.

378

Pracownia obuwia

J. DEBSKI

ŁÓDŹ,

ul. 6-go Sierpnia 20

Poleca obuwie najnowszych fasonów męskie, damskie i dziecinne z wszelkich skór zagranicznych.

Ceny przystępne.

Uwaga! Urzędnikom ustępstwo na weksel lub raty.

389

Ogłoszenia drobne.

Starszy Felczer

M. Adamowicz

ul. Aleksandryjska 20.

284

SKORA

Chrześcijański

Hurtowy i Detaliczny

Skład Skór

Łódź, Piotrkowska 175.

Poleca po cenach fabrycznych skóry szwajcarskie i rymarskie w różnych gatunkach.

390

Licytacja.

Kasa Chorych m. Łodzi

z mocy art. 53 ustawy z dnia 19-go maja 1920 r. o przymusowym ubezpieczeniu na wypadek choroby podaje do wiadomości, że dnia 29-go września 1924 r. o godz. 10-ej rano w Łodzi, przy ul. Gdańskiej № 117 odbędzie się licytacja ruchomości, należących do J. Wajdysławskiego, Tow. Akc. oszacowanych na Zł. 715.— składających się z 1) 3 biurka 2 jasne i 1 ciemne, 2) 12 krzesel i 2 fotele, 3) 2 stoły ciemne, 4) 2 biurka podwójne, ciemne, 5) 3 ławki, 6) maszyna do pisania firmy „Underwood“ na pokrycie należnych Kasie składek członkowskich.

Ruchomości obejrzeć można w dniu licytacji o godz. 10-ej rano, spis zaś takowych codziennie od 9-ej do 1-ej po południu w Wydziale Egzekucyjnym Kasy Chorych (ul. Wólczajska № 225).

Łódź, dnia 19-go września 1924 r.

Kasa Chorych m. Łodzi

(—) Inż. L. Szuster (—) Dr. Ed. Giebartowski
p. o. Dyrektor. Komisarz.

484

OKAZJA!

PLAC 4050 łokci kwadratowych

(w pobliżu cmentarza żydowskiego) przy ulicy Brackiej w Łodzi, przy tramwaju okazynie do sprzedania.

Wiadomość u właściciela Jana Pawlickiego, Brzezińska 118, m. 2, w godzinach od 2—6 po południu.

482

Baczność! Na raty i za gotówkę!

Czy wiecie gdzie najtaniej kupić obuwie?

Swój do swego!

Nie boimy się konkurencji. Cała Łódź wie o tem, że najtaniej sprzedaje obuwie firma



Błazejczyk i Gordoni

448 SKŁAD: ul. Drewnowska 33. FILJA: ul. Łagiewnicka 23.

UWAGA: Czerwone szyldy, robotą gwarantowana z własnych warsztatów.

Najtańsze i najskuteczniejsze

drobne ogłoszenia w dzienniku „Nowiny“

Kilka tysięcy ludzi czyta je codziennie i interesuje się nimi. Jedno drobne ogłoszenie w naszym piśmie przynosi niezawodny rezultat.

Kto chce coś sprzedać — || Kto szuka służby, lub robotników —
Kto chce kupić — || Kto szuka pracy —
Kto chce zamienić — || Znajdzie to, co mu trzeba w naszych

drobnych ogłoszeniach.

Jedna próba przekona każdego.

Za słowo płaci się u nas 5 groszy. — Poszukujący pracy placą tylko 3 grosze. — Najmniejsze ogłoszenie 50 groszy.